

zyc i słuchać ciszy nocnej, albo gdy chmurki białe po niebie latają, gonić je oczyma, albo gdy bąki huczą na moczarach, przysłuchiwać się ich hukaniu.

— Szczęśliwe to życie, kiedy się tak może pod swoją strzechą po pracy odpocząć — odezwał się Plersch. Co wam tu brak? mój Boże!

— Pustynia! — poczęła Natałka. Wy mówicie, czego brak? a no wszystkiego — ludzi. Bąka słuchać, gdyby się głosu ludzkiego chciało, to bieda i tęsknica; w chacie się dusić, kiedy drudzy białe domy mają...

Plersch pomilczał chwilę. Żał mu było ślicznej dziewczyny.

— E — rzekł powoli — gdybyście nie gniewali się na mnie, jabym z wami rad pomówić od serca.

— Od serca? — rozśmiało się dziewczę.

— Nie rozumiecie mię może, no to powiem od sumienia.

Dziewczę zmilknęło.

— Mnie was żal okrutny — rzekł malarz.

— A no? — spytała Natałka.

— A tak, żal — ciągnął dalej Plersch — żal mi was. Wyście szczęścia warci, a wam się gotuje niedola. Ja wszystko wiem.

Natałka, która siedziała na ławie, wstała i sparszy się o okna krawędzie, zwiesiła nad siedzącym główkę ciekawą. On pozostał w miejscu, z podniesioną ku niej twarzą.

— Wyście lepszej doli warci — mówił Plersch, powoli się coraz więcej unosząc. Ja wiem, podobaliście się królowi. Król dobry jest, ale on co dnia nowej twarzy pragnie i miłości nowej. Co za dziw, żeście go oczarowali... a co potem? Jutro pamięci nie zostanie w jego sercu o tem, co wczoraj życiem by był okupił. A wy, wy zostaniecie ze łzami i ze sromem i z niezdarnem mężem, którego wam może dadzą, i będziecie płakać resztę życia.

Mówił to powolnym głosem, smutnym, a Natałka go słuchać się zdawała pilnie. Główka jej poruszała się w mroku, kołysząc jak usypiająca dziecina. Słowa nie zdawały się czynić wrażenia, aż Plersch, który się czego innego spodziewał, zamilkł.

— Mówcie — rzekła — niech wam to z duszy zejdzie. O mój Boże! albo to ja głupia dziewczyna? nie wiem tego wszystkiego? Ale wy mię nie znacie, o nie. Mnie od kolebki wielkość się śniła i chęć wielkości skosztować. Jam się dzieckiem perłami bawiła, chodząc w zgrzebnej koszuli; mnie ojciec i matka kołysali królową. Mnie tu ciasto, mnie tu tęskno; ja chcę wrzawy, i ludzi, i stroju, i śmiechu — no, ta choćby i łez!

Z kolei Piersch, słuchając, niemal osłupiał. Mówiła tak jakoś jakby przez sen, w jasnowidzeniu, nie powszedniem słowem i duchem. Była nie tą, którą widział u siebie na górce, prostą dziewczyną, ale jakimś dlań niezrozumiałem stworzeniem, przez której usta istota nieznaną mu przemawiała.

— Ach! — zawołał, gdy umilkła — nie szczęśliwszeż życie spokojne? nie lepiej że by wam było przysiądz u ołtarza takiemu, coby wam przysięgi dotrzymał i nie kryć się z niczem, i nie wstydzic niczego?!

— Albo myślicie, że ja kryć i wstydzic się będę?... Grzech! jaki grzech?... on pan, on król, grzech jego, nie mój! Ja niewinna! ja idę jak ćmy na ogień...

— A ćmy w ogniu płoną — rzekł Plersch.

— Niech i ja się spalę, ale życia skosztuję! — zawołała Natałka, śmiejąc się dziko. I ręką pogroziła malarzowi.

— Ja wam powiem też prawdę, o, ja wszystko rozumiem, przedemną się nic nie ukryje. Mię nikt tego nie uczył, ot tak, samo mi to przychodzi, nie wiem z kąd. Wam nie o moją idzie dolę... wyście też zakochali się we mnie.

Klasnęła w dłoń.

— A co, a co? nie prawda? O, o, jam to drugiego dnia już wiedziała. Wyście nie malowali, tylko patrzali we mnie, prawda? wybyście też chcieli mię wziąć do ołtarza i przysięgać.

Plersch się zmięszał. Nigdy nie mógł przypuścić, aby dziewczę tak śmiało było.

— Nie będę się zapierał; może i mnie od waszych oczów zawróciła się głowa, ale ja nie myślał o sobie, gdym mówił o was, nie, na to się wam na Boga zaklinam. Jam tam żył, ja patrzyłem na to, co się dzieje, ja znam Pana i ludzi i świat ten, którego wy nie znacie. Tam nie trwa nic.

Dziewczę potrząsało głową.

— A gdzie trwa? — zapytała — a co trwa? wszystko przechodzi i ginie! Tak stoi w pieśni naszej. Niech krótkie życie przejdzie jak błyskawica jasna, a potem...

— O, o, a z kimże to tak przez okno gadacie? — odezwał się głos Sydorowej.

Natałka odstępowała od okna i pokazała na Plerscha.

— A czemuż pana majstra nie proście do chaty? Taka to z was gospodyni — poczęła Sydorowa, poprawiając na stoliku obrus i idąc już po czarke i obiecany dereniak.

— Chodźcie do chaty — dodała znikając z okna dziewczyna.

Plersch wszedł.

(C. d. n.)

Niewolnica z Zanzibar.

(Novelletta.)

Na morze piasku, nad błękitów morzem,
Wbiegają wały dziko rozpedzone,
Igrając żółtych nasypów przestworzem,
Chórem ryczącym wracają spłoszone,
Ryk ten szalony glucho się rozlega,
Jak gdyby olbrzym targał trzewia ziemi,
Fala grzmi, pedzi, ryczy i odbiega,
Jednak demona oczy błękitnemi
Wabi ei duszę i zachwyca cko.

Przy studniach rynku, na piaskach, szeroko
Snują się tłumy kupców, karawana,
Co ludźmi kupczy, w okolicy znana,
Gwar, krzyk, płacz, śmiechy, śpiew, bandurki glosy,
Z wałami morza grzmiącemi o skały
Pianym akordem zmięszane, w niebiosy
Lecą; tłum krzyczy; zawrzał targ wspaniały.
Tam, w głębi, w cieniu palm i minaretów,
Spoczęły zając wielbłądy znużone,
Z za murów twarze w muślin okweffone
Patrzą ciekawie — śpiew słychać z meczetów,
Tam kilku w fezach siadło malinowych,
W obłokach dymów haszyszu, wesolo
Gwarzą; gitary pobrzęki w okolo
Drza, śpiew o rytmach przeciągłych, stepowych,
Co mdlejąc, z dymem unoszą się góra
I w morskiej fali konają dźwiękami...
Niebo ceglata upowite chmurą
Zachodniej luny, złotymi prochami
Sieje — na piaskach ściela się kobierce,
Na nich niewolnic spoczęły postacie,
Spuszczone głowy i puste ich serce,
Włos chmurą wieje po falistej szacie,
Siedzą i stoją w trwodze i milczeniu,
Kudłaty murzyn z harapem nad niemi,
W koło Arabi z kupcy otyłymi
Kłocą się, łają, klną roznamietnieni,
Młodzi bogacze chodzą w koło dziewic,
W zęby im patrzą, wróżąc o ich latach,
„Te kupcie!“ woła kupiec, „tej królewic
Wart chybał perła, choć w starganych szatach.“
We środku grupy, z wielbłąda zsiadała
Cudna, jak smętny wieszczą sen, dziewczica,
Dwojgiem błękitnych ocz na świat patrzała,
Takimi rysy żadna nie zachwyca,
Kształt jej wysmukły i dumne wejrzenie,
Uśmiech namietny, a smętność gazeli,
Włos hebanowy, w oku zamyslenie
I obojętność od innych ją dzieli,
I wszystkie inne zgasty jak przy słońcu
Gwiazdy tlejące nad Arabistanem,
Zbiegli się młodzi, starzy, tak że w końcu
Tlum się już cisnął z krzykiem wyuzdanym,
„Trzy worki ryżu!“ wołał głos na boku,
„Ja trzy sztuk złota, ja dziesięć, ja więcej!
O, jakże piękna! godna cie proroku!“
Morze do stóp jej dobiegło, w dziecięcej
Igraszce perły bryzgając rozlało,
Ze się helenką zdala Afrodyta.

Tu cudzoziemiec młody brzękł dobytą
 Kiesz i rzucił — wszystko się zdumiało.
 Fala tłum pierzchnął; kupiec młodzieńcowi
 Oddał czarowną, on ujął za dłonie:
 „Tam twój kochanek płacząc twarz skrył w dłonie,
 Tobie dam wolność. Ciebie kochankowi,
 Jam cię uwolnił, o, bo przypomniałem
 Te, którą kocham, bez której zostałem,
 I odtąd w duszy z czarną smutku nocą
 Włóczę się w świecie, dyabli wiedzą po co!
 Tybys mi tylko mogła być zabawką,
 Bawić się sercem człowieka jak trawką
 Zerwaną, co nim zejdzie słońce, skona,
 Nie! mnie czas w drogę, ty bądź uwolniona!“
 Jak błyskawica zalana w łzach burzy,
 Spojrzała w niego i niema zadrżała.
 „O, ja za tobą chcę pójść!“ zaszeptala,
 „Stopa się moja w pochodzie nie znuży,
 Jak Agar pójdę i na koniec świata,
 Bylebym w tobie, w tobie miała brata!“
 „Zostań, gazelo piękna“, rzekł młodzieńiec,
 „Ta, którą kocham, jest w innej krainie;
 Wolnaś! Łódź moja oto po nioie płynie.
 Bądź zdrowa! Jej rzuć błogosławieństw wieniec!“
 „Wiec tej, co kochasz, będę niewolnicą,
 A daj mi tylko popłynąć za tobą!“
 „Nie, bo zazdrośna!“ Tu czarna żalobą
 Schmurzyła czoło, jękla gołębica,
 Oburącz tylko chwyta się za serce
 I milczy, piękna, sama nieszczęśliwa!
 On skinął... skoczył w łódź i już odpływa,
 Do koła śmieją się podli szyderce,
 Niknie już łódka, na błękitnej smudze
 Wietrzny łabędziem lekko się kołysze,
 Przepada w falach... utonęła w cisze
 I wiatr pomysłny powiał tej żegludze...
 „Wolnaś!“ krzyknęła, dziko się rozśmiała;
 „Wolnaś! w wolności mojej ma niewola!“
 Z skał jak uragan w toni morza zleciała
 I fal ją dzika porwała swawola...

I cudzoziemiec pogląda z swej łodzi,
 Na ciche morze błądy księżyc wschodzi,
 Kształt marmurowo-piękny z fal wypływa...
 „Bądź ty szczęśliwy — i ona szczęśliwa!“

Ernest Bulawa.

Seweryn Goszczyński.

Studjum literacko-krytyczne

przez

Władysława Zawadzkiego.

Pięćdziesiąt lat upłynęło od chwili, jak na widnokręgu literackim pojawiło się imię Seweryna Goszczyńskiego, a *Zamek Kaniowski*, tudzież poezye liryczne, w tymże czasie ogłaszane, potężny rozgłos zjednały do razu młodemu poecie. Była to chwila wielkiego przełomu w dziejach naszej literatury a zwłaszcza poezyi, epoka walki romantyzmu z klasycyzmem, podniesiona przez młode pokolenie pracowników ducha, z pomiędzy których Goszczyński był jednym z najpotężniejszych szermierzy w pierwszym szeregu. Bój był zacięty, walka trudna, rozwinięta na całej linii pomiędzy starym i nowym zastępem literatów i poetów. Starzy mieli za sobą powagę tradycyi, smak urobiony w przyjętym i uświęconym od dawna kierunku, przyzwyczajenie, lgnące silnie do tych uświęconych form i wyobrażeń. Młodzi, wyobraźciele kierunku i ducha romantycznego, posiadali za to nierównie wyższą dzielność twórczą, tryskającą ze źródeł geniuszu, owianego natchnieniem, nieśli do walki pod nowym sztandarem nowe potęgi, nowe hasła i zapał, tłący nieprzebranym w młodej piersi wulkanem. Bez takich żywiołów walka byłaby pozostała bezowocną; dawne bogi pozostałyby nietknięte na swych ołtarzach, klasycyzm, trzymający się uporczywie form uświęconych tradycją, byłby się oparł zwycięzko argumentem teoretycznym nowej szkoły, gdyby nie siła geniuszu w nowym tkwiąca kierunku, gdyby nie wielkie dzieła kilku młodych

poetów i pisarzy, których pojawienie się od razu przechyliło szalę zwycięstwa na stronę romantyzmu, porwawszy wszystkich uroczą swoją pięknoscia, która zaćmiła dawne bóstwa i potęgi. Praktyka, mówiąc dzisiejszym językiem ekonomicznym, dokonała *de facto* tego, czemu by była nie podolała przez długie jeszcze przynajmniej czasy sama teoria. Wykłady akademickie Brodzińskiego i odpowiedź recenzentom warszawskim Mickiewicza, nie byłyby zdolaty same przez się przeobrazić z gruntu literackich przekonań w całym narodzie, gdyby nie *Walenrod* i *Dziady*, nie *Zamek Kaniowski* i *Dumy* Bohdana.

Okres, o którym mówimy, obejmujący walkę romantyzmu z klasycyzmem, stworzony geniuszem wielkich naszych poetów, stanowiąc wobec dnia dzisiejszego skończoną w sobie całość, daje się już ze wszęch miar należycie ocenić. Wszystkie szczegóły, wszystkie jego pojedyncze objawy, przedstawiają się dzisiaj w prawdziwym świetle, wolne od stronniczej uludy, zaćmiewającej wzrok i sąd krytyki społecznej. Dziś na to wszystko trzeźwym i beznamietnym patrzymy okiem. Każde dzieło, każdy utwór literacki, w zaciętości roznamietnionej walki wynoszony pod niebo lub niezastłuszenie nad miarę potępiony, dziś oceniając na zimno, jesteśmy w stanie ocenić wedle znamion istotnej wartości, a co więcej, z odniesieniem do całości, do ducha epoki, ściśle odgraniczonej, której całe znaczenie, początek i koniec, przyczyny i skutki, z wszystkimi właściwościami i przeobrażeniami, są nam na wskrós znane i jasne. W tem tylko odniesieniu odróżnić zdoła krytyka, co w którym dziele literackim jest wypływem i odblaskiem ogólnego ducha czasu, powszechnego prądu, porywającego za sobą i pod jeden niejako strych podgarniającego wszystkie myśli i wyobrażenia, a co tworem samodzielnym, plonem własnego geniuszu, do powszechnego skarbcza dorzuconym.

Goszczyński był jednym z wybitnych wyobraźcili owej epoki. Dzieła jego, pochodzące z onego czasu, stanowią część owej całości, splotły się z nią, są jej częściowym wyrazem, i jako takie zamykają także pewien zaokrąglony okres poetycznego i autorskiego zawodu swego twórcy, przedstawiając tym sposobem skończoną w sobie całość do ocenienia. Goszczyński jako poeta żyjący, może jeszcze wiele pisać i tworzyć, a wiemy nawet, że pracuje w tej chwili nad obszerniejszym poematem; cożkolwiekby to było, nowe te utwory, jakiegokolwiek będą ich piękności a zalety, chociaż będą posiadały pewne wspólne z dawniejszemi znamiona, zawsze wszelako utworzą nowy już okres, oddzielony od poprzedniego przestrzenią lat czterdziestu, powstały pod wpływem odmiennych zupełnie prądów czasu, różnych wcale konstelacji politycznych i literackich, innego stanu społeczeństwa i odmiennych umysłowych potrzeb narodu. Stanowisko Goszczyńskiego, zajęte przezeń w pierwszym okresie poetyckiego zawodu, znaczenie dzieł jego ówczesnych, pozostanie przeto niezmiennione, a względnie do swego czasu zupełne, skończone.

Życie każdego autora ściśle z pismami jego bywa połączone. Jakkolwiek może to się pozornie inaczej wydawać, przypatrzwszy się z bliska, zawsze niemal przekonamy się, że położenie i otoczenie powszednie i publiczne, w jakim się autor znachodzi, oddziaływa na pism jego kierunek, rodzaj, koloryt, dążność. U Goszczyńskiego było to więcej jeszcze niżli u innych, życie jego splotło się ściślej niż u innych bywa z duchem i dążnością pism jego. Nie skłamał nigdy myślom i uczuciom, życie jego splotło się jak najściślej z dążnością pióra, z duchem poetycznego geniuszu, w słowie natchnionej pieśni promieniującym. Miłość ojczyzny przepelniała pierś poety, brzmiała w każdym słowie pieśni i wypełniła całe życie. W pismach i życiu, przyszłość ojczyzny była mu głównym celem, dla niej żył myślą i czynem. Treść życia odzwierciedliła się w pism treści. Jedno tu i drugie ściśle z sobą połączone. Poznawszy człowieka, zrozumiemy poetę.

Nie zamierzam pisać biografii Goszczyńskiego. Pobieżne atoli przytoczenie główniejszych szczegółów życia poety, jego otoczenia i okoliczności, w pośród których żył i czerpał treść swych natchnień poetycznych, jest niezbędnem dla lepszego zrozumienia ich ducha i treści.

Seweryn Goszczyński urodził się w r. 1803 w Ilińcach, w powiecie liptowieckim, w gubernii kijowskiej, tam gdzie i